

„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ECHO KRAKOWA
31-07 Kraków
ul. Wielopole nr 1

218 — 5-11-92
Nr z dn.

Jan Frycz nie będzie ordynatem Michorowskim. I proszę sobie wyobrazić — sam zrezygnował, zostawiając „Trędowatą” własnemu losowi. Otrzymał ciekawszą propozycję filmową z Warszawy i Teatr Ludowy musiał szybko (bo próby przecież trwały!) znaleźć innego ordynata. I znalazł — Piotra Urbaniaka, który będzie chyba najmłodszym Michorowskim w historii filmowo-scenicznych adaptacji powieści Mniszkówny. Na szczęście Agata Jakubik (Stefcia Rudecka) pozostała „Trędowatej” wierna. Ale i tak reżyser Włodzimierz Nurkowski na brak problemów z pewnością nie narzeka. Przedsięwzięcie jest duże (gra ponad 20 osób) i mnóstwo pracy mają pracownice teatralne realizujące scenograficzną koncepcję Anny Sekuły. Już teraz wiadomo, że premiera przesunie się przynajmniej o tydzień (do 21 bm.).

Dodajmy, że Jerzy Fedorowicz — dyrektor Teatru Ludowego przebywa właśnie w Monachium. Wyjechał tam na 2-miesięczne stypendium językowe. Wróci w grudniu — miejmy nadzieję, po premierze „Trędowatej”.

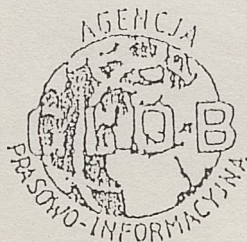
(gk)

Frycz zrezygnował, Fedorowicz uczy się niemieckiego

„Trędowata” — przesunięta



Stefcia Rudecka czyli Agata Jakubik z reżyserem Włodzimierzem Nurkowskim w czasie jednej z prób „Trędowatej” w Teatrze Ludowym.
Fot. Jacek Bednarczyk



"GLOB"
SPÓŁDZIELNIA PRACY

01-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wielopole 1

31-072 Kraków

2 7 4

2 4 -II- 92

Nr z dn.

Stefcia i Waldi
w Teatrze Ludowym

Nieśmiertelna „Trędowata”

Wyciskając łzy z oczu kilku pokoleń Polek historię nie-szczęśliwej miłości Stefcia Ru-deckiej i ordynata Waldemara Michorowskiego przedstawi jutro Teatr Ludowy.

„Trędowata” Heleny Mni-szkówny, obdarzona przez krytykę pogardliwym określe-niem „powieści dla kucha-rek”, do dziś pozostała naj-

ślynniejszym polskim melo-dramatem. Jedyna to chyba powieść od kilkudziesięciu lat zaczytywana na strzępy i — do niedawna jeszcze — prze-pisywana ręcznie przez wier-ne czytelniczki. Także jej fil-mowe i teatralne wersje cie-szyły się ogromnym powodze-niem u publiczności. W kinie w roli Stefcia wzruszali ko-

lejno Jadwiga Smosarska, El-żbieta Barszczewska i Elżbie-ta Starostecka, w telewizji — Marta Lipińska.

Na scenie Teatru Ludowe-go w postać guwernantki wcie-li się Agata Jakubik, szar-manckiego i szlachetnego or-dynata zagra Piotr Urbaniak. Autorką najnowszej adapta-cji jest Joanna Olczak-Roni-kier, reżyseruje Włodzimierz Nurkowski, scenografię za-projektowała Anna Sekuła, muzykę skomponował An-drzej Żarycki.

Na premierę widowiska Te-atr Ludowy zaprasza jutro o godzinie 18. (A.F.)



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA KRAKOWSKA

ul. Wielopole 1

31-072 Kraków

Nr 277 - 27-11-92
z dn.

Po premierze „Trędowatej”

Owacja na stojąco i mokre chusteczki

— Jaka ona szczupłutka... i jaka śliczna ta dziewczyna, która gra Stefcie. Przed wojną Smolarska to była postawna kobieta. Jak ona się nazywa? — zachwycala się w przerwie spektaklu starsza pani.

Z Agatą Jakubik, wiotką szatynką z wielkimi oczyma, która wcieliła się w rolę Stefci utożsamiały się — prawie bez wyjątku — siedzące na widowni panie w każdym wieku. Nie trzeba dodawać, że kobiety stanowiły zdecydowaną większość publiczności. — Szkoda, że Jan Frycz zrezygnował z roli ordynata — mówi z żalem jeszcze przed przedstawieniem jasnowiąsa licealistka. Okazuje się jednak, że rzucający powłóczyście spojrzenia właściciel zabójczego wasa i fryzury błyszczącej brylantyną — Piotr Urbaniak w roli Waldiego — ma rzeszę wielbicieli. Po „Trędowatej” z pewnością będzie ich jeszcze więcej.

PODSŁUCHANE W CZASIE ANTRAKTU:

— Dałeś mi kiedyś takie kwiaty? — Znajdź sobie ordynata — obrusza się młody człowiek w dżinsowej kurtce.

— Jakże one mają piękne kostiumy. Zauważyła pani tę białą koronkową bluzkę? Muszą mieć tutaj bardzo dobrą pracownię krawiecką — wzdycha z lekką zazdrością pani w średnim wieku.

Podobały się także ciekawe,

nastrojowe dekoracje — witraże Anny Sekuły.

— Muzyka była trochę za bardzo uduchowiona — stwierdza z przekonaniem młody człowiek, którego na „Trędowatą” zaciągnęła dziewczyna — i za dużo sztucznych kwiatów — z 15 metrów widać, że nieprawdziwe.

Nastoletnim młodzieńcom, którzy przyjechali do teatru ze szkolną wycieczką z Wadowic wyraźnie większą przyjemność sprawiała coca-cola i ciastka w bufecie, niż rozczulanie się nad losami nieszczęśliwej Stefci. — Fajne było jak dziewczyny grały w tenisa albo jak się upili i śpiewali piosenki — mówią z wyraźnym rozbawieniem. Od mężczyzn w tym wieku nie można jednak wymagać zrozumienia dla romantycznej miłości.

Salą nowohuckiego teatru w premierowy wieczór wypełniona była po brzegi, a publiczność podczas 3,5-godzin-

nego spektaklu reagowała jak w operze. Wykonawcy nie tylko na zakończenie, ale także w trakcie spektaklu po każdej zabawnej lub podniosłej kwestii nagradzani byli brawami. Czasami dosyć nieoczekiwane — nawet w momencie śmierci Stefci oprócz stłumionych westchnień rozległy się gromkie oklaski: — Ładnie umarła!

Nowohucka wersja „Trędowatej” w reżyserii Włodzimierza Nurkowskiego została zrealizowana jak najbardziej „po bożemu” — do śmiechu i do łez. — Aktorzy grają bardzo dobrze, nie odstawiają żadnej chałtury. To się naprawdę da oglądać — stwierdziła z uznaniem znajoma teatromanka.

AGNIESZKA FRYZ-WIĘCEK

OZIENNIK POLSKI

ul. Wielopole 1
31-072 Kraków

Nr z dn.

2 9 8 2 2 -12-92

Po premierze

26 Stare kino w teatrze

Dla najbardziej nawet wytrawnego konesera sztuki prawdziwy kicz zawsze pozostanie wielką pokusą, wyzwaniem, „półfabrykatem”, z którego można próbować robić wielką sztukę. Kicz ma bowiem w sobie ten rodzaj magnetyzmu, który elektryzuje rzesze odbiorców i trytuje znawców. Dlatego my oglądamy „Dy nastię”, nasze babki zaczytywały się Mniskówną, czy Rodziewiczówną, a dyrektor Fedorowicz z właściwą sobie odwagą i przekorą postanowił pokazać „Trędowatą” w swoim teatrze.

Dziś „Trędowata” to już klasyka kiczu; lewaty, pełen sentymentalnego dramatyzmu, trochę wykrzywiony, ale bywa, że wersyjający niejedną panienkę obraz minionego świata. Tym bardziej więc jest to wdzięczny materiał na drobnie ironiczne widowisko „z tezką” i „z myszką”.

Wyreżyserowany przez Włodzimierza Nurowskiego i oprawiony w scenografię Anny Sekuły spektakl z Teatru Ludowego ma urok starych fotografii, z których patrzą na nas wypomadowani dziadkowie i muslinowe babki, ofiary atlasowo-koronkowej magnaterii, teatralnie, jak amanci starego kina, przeżywający swoje egzaltacje. Bywa nawet, że przez malarzski obrazek na scenie przebija wzruszenie reżysera, ale wtedy wątpliść całego romansu doskwiera widzowi. Szczęśliwie jednak zawsze w pogotowiu są wychowanka księżnej Podhoreckiej Rita Szełżanka (Beata Schimscheiner) i Hrabia Edward Trestka (Andrzej Franczyk), którzy szczypta farsy nadają smak całemu danu.

Wyjątkowo smakowity jest akt drugi, kiedy młodzi chłopcy mogą się naprawdę zabawić na scenie. Spotkanie towarzyskie u młodego Michorowskiego jest szampańskie, ale tylko do momentu, kiedy ordynat nie zmrozi atmosfery brakiem dowcipu.

No cóż, dość niewdzięczne role przypadły w udziale Agacie Jakubik i Piotrowi Urbaniakowi (Stefci Rudeckiej i Waldemara Michorowskiego). Papierowa szlachetność ubrana z jednej strony w pensjonarską enotę, a z drugiej w patos nawróconego uodździela, to mówiąc delikatnie dość trudne zadania aktorskie. Odrobinę lepiej poradziła sobie z nimi Agata Jakubik — jej Stefci miała tyle wdzięku, że dość łatwo było wybaczyć jej proste utożsamienie z naiwną panienką. Gorzej natomiast było z ordynatem Michorowskim, który w wykonaniu Piotra Urbaniaka podzielił los Romea z niedawnej przeszłości w tym teatrze premiery Szekspira. Kobiety jednak nieco inaczej chyba wyobrażają sobie zniewalającego mężczyznę niż Urbaniak, który ustępuje takiego kreować. Brakuje mu wigoru, którego nie może nie posiadać młody, wykwinny i bohater bywalec salonów — czego dowody nawet Mniskówna zapisała w swojej „baśni” o Kopciuszku i Księżu.

MARIA WĄS

Teatr Ludowy: „Trędowata”
H. Mniskówny, adaptacja J. Olezak-Ronikier, reż. W. Nurkowski, scen. A. Sekuła, muz. A. Zarycki, prem. 13 XII 1992.

Po premierze
w Teatrze Ludowym

Stefcia umierała słodko



Staromodny rupieć? Historyczne świadectwo pewnej epoki z jej obyczajowością, przesadami społecznymi? Grafomańskie romansidło, choć teraz powiedzielibyśmy raczej: czytało? A może zbiór prawd uniwersalnych, dotyczących nas zawsze i wszędzie? Czym jest dziś „Trędowata” Heleny Mniszkówny? Czymkolwiek by była, to jedno jest pewne: jej fenomen nadal trwa. Dzieje miłości ordynata Michorowskiego i Stefcia Rudeckiego nie tylko czyta się i ekranizuje, ale także adaptuje dla potrzeb teatru. Tak też zdarzyło się w Teatrze Ludowym: Joanna Olczak-Ronikierowa przygotowała sceniczną wersję powieści, zaś Włodzimierz Nurkowski całość wyreżyserował.

Muszę przyznać ze wstydem, że nowohuckie przedstawienie, zamiast wycisnąć łyż smutku w mych oczach (na wszelki wypadek miałem chusteczkę), ubawiło mnie niemal do łez. Śmiałem się, kiedy na scenę wpadła Lucia (Joanna Rudek) z radosnym „Waldi przyjechał!”, gdy tymczasem rzeczony ordynat od paru minut siedział na fotelu pod lewą kulisą, pogrążony w nastroju smętnej melancholii, po czym podniósł się z miejsca i wszedł w akcję jak gdyby nigdy nic. Śmiałem się, kiedy aktorzy w drugim planie nagle, niemal jak w filmie, milkli i zaczęli ruszać ustami, pozwalając dojść do głosu tym z przodu. Śmiałem się, kiedy raptem spod sceny wytrysnęła niewielka fontanna, tak rozkosznie dopełniająca romantyczny nastrój wydarzeń w ogrodzie. Śmieszyła mnie śmiertelna powaga Agaty Jakubik (Stefcia) i Piotra Urbaniaka (Waldemar) choć trochę dystansu i nieco więcej humoru — nawet wbrew tekstowi — nie zaszkodziłoby tym rolom. Śmieszyły mnie pozostałe postaci, wśród których dominowały dwa typy charakterów: albo bardzo do-

bry, albo bardzo zły. Ubawiła mnie, tak znakomicie i tym razem z założenia śmiesznie rozegrana, scena kawalerskiej pijatyki młodej arystokracji. Śmieszyła mnie i irytowała zarazem zbyt częsta obecność muzyki, która — zamiast dyskretnie podkreślać nastrój — brutalnie i na filmową modłę wdzieriała się tam, gdzie wystarczyła cisza i wybrzmienie słów. I nie rozśmieszyła mnie jedynie śmierć Stefcia, odchodzącej w zaświaty w anielskiej bieli sukni i aureoli światła, ale gdy zaśypiała Królowa Śnieżka w filmie Disneya to też nikomu nie było do śmiechu.

No cóż, być może mam serduszek z lodu, lecz w teatrze chciałbym zobaczyć coś więcej, niż — skądinąd ładny — widoczek z jelenkiem na tle zachodzącego słońca.

PAWEŁ SZUMIEC

Helena Mniszkówna „Trędowata”, Reżyseria: W. Nurkowski, Scenografia: A. Sekuła, Muzyka: A. Zarycki, Ruch sceniczny: J. Tomasiak, Premiera: Teatr Ludowy Kraków — Nowa Huta, 13 grudnia 1992.

Tęsknota za wielkim wzruszeniem

Pierwsze pytanie, jakie może nasuwać się potencjalnemu widzowi wybierającemu się na najnowszy spektakl do Teatru Ludowego, zabrzmi być może: czy warto? Czy warto dziś, w dobie zalewających nas współczesnych, zachodnich modnych romansów i romansidel typu desire, temptation itp., itd., które wydają się, sądząc po sukcesach firmy Harlequin, w pełni pokrywać zapotrzebowanie czytelników spragnionych romantycznych dreszczy, sięgać po zabytek literacki i to w dodatku nie klasy zerowej. Czy współczesną nastolatkę może zainteresować wypłowiały babciny romans, jakim jest „Trędowata” Heleny Mniszkówny?

Fakt, że niegdyś wzbudzała sensację i namiętne polemiki, była uwielbiana i znienawidzona, wyśmiewano ją ale też i kochano. Przed laty smakowała jak owoc zakazany, dziś kolejne wydania licznych piodów pióra tej autorki leżą spokojnie na księgarskich ladach, nie wzbudzając niczych emocji. Czy warto więc poświęcić „Trędowatej” tyle czasu i energii, adaptując ją na scenę i przygotowując przeszło trzygodzinne przedstawienie? Warto, ale pod kilkoma warunkami: że będzie to znakomita adaptacja Joanny OŁOZAK-RONIKIER, że wyreżyseruje przedstawienie Włodzisław NURKOWSKI, przy współpracy tak wybitnych artystów jak Anna SEKULA (scenografia), Andrzej ZARYCKI (muzyka) i Jacek TOMASIK (ruch sceniczny). Powstanie bowiem spektakl, tak jak się to stało w Teatrze Ludowym, utkany z bardzo szlachetnej materii, bez odrobiny tandety czy kiczu, jakie mógłby narzucać literacki pierwowzór.

Nurkowski potraktował historię romantycznej miłości Stefci i Waldemara z powagą, która należy się każdemu wielkiemu ludzkiemu uczuciu. Starał się odrzeć „Trędowatą” z tego, co było w niej pretensjonalne, dla nas dziś szmirowate. Z powodzi nieporadnych słów i bajkowych naiwności wyluskał prawdziwy ludzki dramat. Przesuwający się przed oczami samotnego, zlamanego bólem Waldemara Michorowskiego zamglony obraz dawno minionego szczęścia, miłości i nadziei, jest być może zbyt sentymentalny jak na dzisiejsze czasy, ale, kto wie czy nie wbrew woli nas samych, chłodnych cyników, przyciąga uwagę, bawi i wzrusza. Bez trudu dało się to zauważyć na premierze: śmiechy autentycznego rozbawienia, ale i prawdziwe łyzy i nerwowe chichoty tłumiące rzeczywiste wzruszenie, a wreszcie finałowe owacje dowiodły, iż spektakl nie pozostawił nikogo obojętnym. I słusznie, gdyż wyjątkowo czysta i precyzyjna reżyseria i niebaw-

ny kunszt scenografa wykreowały wspólnie świat o przedziwnym, delikatnym uroku i rzadko dziś spotykanej w teatrze wizualnej piękności.

Z wydatną pomocą przyszedł też Nurkowskiemu aktorzy, choć nie wszyscy w pełni odnajdują się w zaproponowanej przez reżysera konwencji. Był

wielce obiecująca zadatki na świetnego aktora (przykładem może być przepięknie zagrana przez oboje aktorów scena wzajemnego wyznania sobie uczuć w trzecim akcie).

Obok pary kochanków przykuwa wzrok pełna temperamentu, ale i niosąca w sobie prawdziwy dramat nieodwzajemnionej miłości Rita Besta SCHIMSCHEINER, wrażliwa, emanująca wewnętrznym ciepłem i radością życia Lucia, w wykonaniu młodziutkiej debiutantki, studentki PWST Joanny RUDEK, pełen godności, dystynkcji i męskiej siły nestor rodu Michorowskich — Tadeusz SZANIECKI czy też chwilami śmieszny, a chwilami tragiczny, zno-



Fot. ZBIGNIEW LAGOCKI

może zaszkodził tu pewien dyktans do odtwarzanych postaci — aktorzy jakby nie mogli się zdecydować czy grać z pewnym przymrużeniem oka, czy też potraktować tę materię literacką całkiem serio, jakby nie mogli do końca uwierzyć, że z kart powieści Mniszkówny wyjrzeć mogą prawdziwi ludzie (choć nie ulega wątpliwości, że wartość literacka dzieła w znacznym stopniu utrudniała im pracę). Tym większa zasługa tych, którym się to w pełni udało, zaś na szczególną uwagę zasługują na pewno pełna uroku i melancholii Stefci Agata JAKUBIK oraz ordynat Waldemar — najlepsza chyba jak dotychczas, najdojrzalsza kreacja Piotra URBANIAKA, który w momencie, gdy nie ogranicza swych środków wyrazu wyłącznie do promieniowania łobuzerskim wdziękiem i urodą, wykazuje

rwicowany bon vivant, hrabia Trestka Andrzeja FRANCIKA.

I choć na pewno nie zaszkodziłyby teatralnej „Trędowatej” zarówno szybszy, zwłaszcza w początkowych partiach, rytm narracji, jak i, być może, pewne skróty, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż w Teatrze Ludowym powstało kolejne godne uwagi przedstawienie, fascynujące niepowtarzalnym klimatem i urokliwą atmosferą. Okazało się też, że legendarne dzieło Heleny Mniszkówny, niezależnie od swych niewielkich wartości literackich, potrafi wzruszyć także współczesnego człowieka, tęskniącego za wyidealizowanym uczuciem. A że koneserzy teatru elitarnego i awangardowego będą wybrzydzali? Ich strata.

Agnieszka
ANDRZEJEWSKA

GŁOS



TYGODNIK NOWOHUCKI

Nr 52 (91) 25 XII 1992 — 1 I 1993 r. Cena 3500 zł



„GLOB”

SPÓŁDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

OZIENNIK POLSKI

ul. Wielepole 1

31-072 Kraków

Nr 19

25-01-93

Teatr

Najbliższy weekend warto spędzić nowohucką „Trędowatą”. Powieść Heleny Mniszkówny — dziś już klasyka kiczu — podana została na scenie Teatru Ludowego bardzo smacznie. Piękne obrazy — dzięki wspaniałej scenografii Anny Sekuły — jak ze starych, pożółkłych fotografii z bardzo poważnym ordynatem Michorowskim (P. Urbaniak), perkalikową Stefcia Rudecką (A. Jakubik) i wesołą gromadą podochoconych kompanów młodego ordynata, ujmują odrobinę przesadną poetyką starego kina i historią nieco egzaltowanej miłości, czy jak kto woli megaliansu.

Ta opowieść o miłości trudnej, ale doskonałej, wyreżyserowana przez Włodzimierza Nurowskiego, dla nas jest już tylko wzruszającą baśnią o Księciu i Kopciuszkę, która z powodzeniem może posłużyć do poprawienia sobie humoru w sobotni czy niedzielny wieczór.

Pani jest jak czułek

Na początek istotne wyjaśnienie. Potrzebę miłości mam i wcale nie lubię, jak ktoś jej nie ma. Kiedy słyszę ze sceny głos ordynata, który porównuje Stefcię do kwiatu czułka lub mówi o dozgonnej miłości, staram się wzruszyć. Najczęściej jednak nie wiem za bardzo, jak to się robi. Popadam w przesadę, a moja zirytowana sąsiadka dzieli mnie programem w głowę.



Fot. Adam Golec

— Płakałaś? — pytam w szatni.
— Tak. — Co cię tak wzruszyło?
— Zawsze płaczę jak ona umiera.

A ja nie płaczę. Podejrzewam też, że nie płacze reżyser, Włodzimierz Nurkowski, ani odtwórca roli ordynata, Piotr Urbanik. Tym większa dla nich chwała, że potrafili wziąć w cugle swoje emocje i zrobić „Trędowatą” bez pastiszowego dystansu, „na poważnie”. Pomogła im w tym autorka adaptacji, Joanna Olczak-Ronikier, która skrzętnie powyciniała najbardziej wybijające pędy stylu Mniszkówny. Czułki i tym podobne fanaberie pozostawiła tylko na ozdobę. Potrafiła też wydobyć komizm, który nie obraca się przeciw ulubienicy polskich czytelniczek.

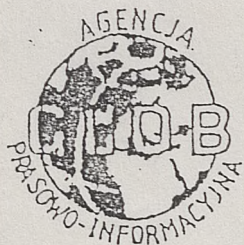
Specjalność polskiego teatru, kawalerski bal, jest w nowohuckiej „Trędowatej” najlepszą i najśmieszniejszą sceną. Przekonujące i pozbawione nieznosnego lukru są też epizody z udziałem stąpających po ziemi kochanków klasy „B”: Rity (Beata Schimscheiner) i Hrabiego Tres-

tki (Andrzej Franczyk). Najbardziej wiarygodną postać tworzy przegrany przed laty kochanek — dziadek Maciej Michorowski (Tadeusz Szaniecki).

Najtrudniej zdzierżyć końcówą część spektaklu. Wprowadzona wtedy zmiana konwencji z „realistycznej” na „oniryczną” traci sztucznością i burzy (tak myślę) emocjonalne napięcie. Temu napięciu nie służą też przeszkłone, rozsuwane drzwi, które od początku do końca widowiska raz po raz jeżdżą w poprzek sceny. Swoim charakterystycznym dźwiękiem i wyglądem tworzą asocjacje, pod tytułem: WJAZD NA GUBAŁÓWKĘ.

Marek MIKOŚ

Helena Mniszkówna: „Trędowata”. Adaptacja: Joanna Olczak-Ronikier. Reżyseria: Włodzimierz Nurkowski. Scenografia: Anna Sekuła. Muzyka: Andrzej Zarycki. Ruch sceniczny: Jacek Tomasiak. Teatr Ludowy w Krakowie



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GAZETA W KRAKOWIE

Dodatek do Gazety Wyborczej

Rynek Gł. 29, 31-010 Kraków.

27

2-02-93

Nr z dn.



TRĘDOWATA (Teatr Ludowy – Kraków)**

Reżyser **Włodzimierz Nurkowski** przyrządził ten nieśmiertelny kiczowaty melodramat na serio, tzn. bez używanych w takich przypadkach pastiszowych narzędzi. Kto wie, może tak jest właśnie rzetelniej, niż robić sobie teatralne prześmiewki dla kolegów i krytyki, podczas gdy zwykła widownia i tak będzie śledzić tragedię Stefy z takim samym przejęciem, z jakim gapi się co niedzielę na wybryki Aleksis. Wyszła z tego smutna i solenna bajeczka w bardzo szlachetnie, elegancko zaprojektowanych wnętrzach pałacowych **Anny Sekuły**; szkoda że słabo i bezbarwnie grana. Moją prywatną radość

wzbudzała grupka dość młodych widzów w ostatnich rzędach, głośnym śmiechem reagująca na „*namietności, które wypelzły jej na usta*” i inne kwiatki, od których tekst ten aż się roi. Oglądałem zaś dzieło na Festiwalu Klasyki Polskiej w Opolu i o ile nie mam pretensji do twórców spektaklu, o tyle do organizatorów festiwalu mam – zasadnicze. Na prowokację to za mdłe, natomiast wprowadzanie – choćby żartem – **Heleny Mniszkówny** do klasyki jest robieniem widowni wody z mózgu.

TAŃCE W BALLYBERG (Teatr Powszechny – Warszawa)***

Nostalgiczna, epicka opowieść irlandzkiego pisarza **Briana Friela** o kraju lat dziecinnych, sielskim choć nie bezproblemowym, o wzruszających losach ludzi dobrych i prostych, o umieraniu starych cywilizacji, o brutalności nowego świata. Czy to wystarczy przyzwyczajanym do schematycznej, ale szybkiej akcji widzom? Wystarczyło w każdym razie aktorom: „**Tańce**” to bodaj **najpiękniej „z miłością” grany spektakl w Warszawie**. Pokrywająca humorem pustkę samotności **Joanna Żółkowska**, dyskretnie rysująca symptomy obłędu **Dorota**

Landowska, rozpaczliwie szukająca sobie miejsca **Jadwiga Janowska-Cieślak**, pozornie oschła **Ewa Dałkowska**, ciepło-tragiczny, dawno nie widziany (dlaczego?) **Franciszek Pieczka** i inni; wszystkich nie zdołam wymienić. Wielka frajda patrzeć, jak najwyraźniej spragnieni takich zadań, wchodzą w postacie, składają je z rozmaitych psychologicznych drobiażdżków i potem bronią ich, świadczą za nimi. *Chapeau bas* przed reżyserką, trzydziestoletnią (!) córką autora **Judy Friel**, z niebywałą dojrzałością dyrygującą nastrojem, rytmem, pointami dramatu granego w nie znanym jej przeciwie języku. Podobno nawet rozdokazywane małolaty ze szkół dają się okiełznać pięknnością spektaklu.

CABARET (Teatr im. Siemaskowej – Rzeszów)***

Główną rolę w tej mocno skamealizowanej inscenizacji słynnego musicalu gra gościnnie **Katarzyna Jamroz**, zeszłoroczna absolwentka krakowskiej PWST i bezapelacyjna triumfatorka Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Gra jak śpiewa: ze scenicznym fajerem, z temperamentem nie pozwalającym jej usiedzieć na miejscu, z ogniem, któ-

ry sprawia, że narwanej szansonistce berlińskiego teatrzyku chętnie się wierzy. Ale brakuje tej żywiołowej roli wykończenia, uformowania, wygrania point, kulminacji. Chciałoby się, by piękna Katarzyna mogła, szlifując swój imponujący głos, jednocześnie sprawdzać się też na scenie, może w innym typie ról, by nie połknęła jej w całości estrada, dużo bardziej w naszych warunkach niż teatr jałowa. Rzeszowski teatr usiłuje godnie sprostać trudnościom, jakie mu następcza skomplikowana forma musicalu **Johna Kandra**; chwilami – zwłaszcza w zbiorówkach – nie potrafi wyrażnego sztukowania ukryć. Interesującą rolę jest Mistrz Ceremonii **Mariusza Luszowskiego**, inny niż w klasycznej kreacji filmowej Joela Greya.

ARMIA (Teatr Dramatyczny – Legnica)**

Oto los dramaturgii współczesnej w całej okazałości. Konkurs dramatyczny Teatru Polskiego we Wrocławiu, MKiS-u i „Dialogu”, rozstrzygnięty latem ubiegłego roku, przyniósł plon obfity: jury dało pięć nagród i trzy wyróżnienia. Spośród tych ośmiu dostrzeżonych sztuk (nie mówiąc o 140 pozostałych) premierę

w mijającym właśnie sezonie miała jedna! – „Armia” **Marka Pruchniewskiego** i to w teatrze, bez obrazy, nie liczącym się do pierwszoligowców. Akurat to ostatnie wyszło sztuce na zdrowie. Legnicki teatr, prowadzony w tym sezonie przez dwóch niedopieczonych jeszcze absolwentów krakowskiej reżyserii, wyraźnie szukał kontaktu z młodą widownią; gehenna „*ko-tów*” w wojsku z melodramatycznym wątkiem w tle była tu tematem idealnym. Student III roku, **Paweł Kamza** wprowadził w scenariusz legnickie realia, uczynił bohatera liderem jednej z rockowych kapel, by zyskać mu sympatię widowni i zmontował żywe, dynamiczne widowisko (może tylko selekcja pomysłów by tu się cokolwiek przydała) z dobrymi rolami **Macieja Czapskiego** czy **Romana Pietrzyka**. Starsi się może wzdrygną na koszarowy język (a jaki ma być „w tym temacie”?) i rockowy hałas, młodzi chyba kupią, na premierze kupowali. I co, naprawdę nikogo w teatrach kraju ten temat nie obchodzi?

*** – dla wszystkich

** – dla amatorów

* – dla najwytrwalszych

JACEK SIERADZKI



Nigdy koniec ani początek teatralnego sezonu nie wyzwał we mnie potrzeby ważenia, mierzenia i oceniania. Co innego koniec roku. Chciałoby się wówczas zawrzeć, przynajmniej na chwilę, przymierze ze światem, choćby tak ulotnym i marginalnym jak teatralny. Naprawić własne grzechy lenistwa, szyderstwa i zaniechania. Opisać to, co ze strachu, zniechęcenia i wyrachowania przemilczało się, czego się nie recenzowało, bo z różnych powodów tak było wygodniej. Większość moich teatralnych grzechów, przynajmniej tych, które chcę wyznać, dotyczy teatru popularnego. Prawdę powiedziawszy bezpieczniej o nim nie pisać, bo a nuż ujawni się nasz gust pośledni.

Grzech pierwszy — *Trędowata*, czyli miłość do melodramatu

Od listopada 1992 roku, tzn. od czasu premiery, dręczy mnie pamięć o tym przedstawieniu, ze wszech miar zaskakującym. Szczere mówiąc dręczy mnie mój strach przed wyznaniem zatajanego podziwu dla niebywalej zręczności i odwagi wszystkich jego twórców (adaptatorki Joanny Olczak-Ronikier, reżysera Włodzimierza Nurkowskiego, scenografa Anny Sekuły i aktorów, zwłaszcza Agaty Jakubik, Tadeusza Szanieckiego i Piotra Urbaniaka). Nie potrafiłam w samym środku batalii o wielką sztukę, jaką staczają zagrożone drapieżnym kapitalizmem teatry, oświadczyć, że wolę dobrze wystawioną *Trędowatą* od nadętej i pretensjonalnej inscenizacji *Wyzwolenia* na scenie. Oczywiście mój wybór estetyczny był wyborem skandalizującym, a nawet „niemoralnym”, dlatego wołałam go zataić. Któż na moim miejscu zechciałby się przyznać, że bardziej wrzeszcza od Stefcia Rudecka niż Konrad rozszarpywany przez aktorów-Erynie. (Na swoje usprawiedliwienie mam tylko jedno — Stefcię i Waldemara słyszałam i rozumiałam, a monologów Konrada zaledwie się domyślałam, bo udający prywatność i naturalność aktor szeptał i wrzeszczał coś tylko do siebie, choć najwyraźniej pod moim, widza, adresem.) Co gorsza, to właśnie kształt inscenizacyjny *Trędowatej*, a nie arcydramatu Wyspiańskiego zaskoczył mnie. Po *Trędowatej* spodziewałam się cudzysłowu, parodii melodramatu, łatwej drwiny z nie tylko stylistycznej naiwności. Tymczasem w Teatrze Ludowym opowiedziano mi zupełnie serio wcale nie tak prostą historię związku dwojga ludzi. Oto Kopciuszek (Stefcia — Agata Jakubik) zażądał od księcia (ordynat — Piotr Urbaniak) książęcego traktowania i jak w baśni pożądanie przemieniło się w uczucie, zaskakując swoją siłą zbyt pewnego siebie mężczyznę i zbyt surową kobietę. Żadnej tu czułościowości, żadnej drwiny — powaga melodramatu też bywa wzruszająca i odkrywa prawdę, co wykorzystali realizatorzy spektaklu. Ona — jak przystało na współczesnego Kopciuszka — bardzo jest świadoma swego wdzięku i ceny, więc chętnie zagra jeszcze o uczucie. On — jak przystało na współczesnego księcia — dość jest znudzony łatwością życia i chętnie wybierze tę, która zażąda od niego pokonania niejakich

trudności. Wysmakowane scenki obyczajowe, nawet te komiczne, wcale nie naruszają powagi historii i powagi jej opowiadania. Reżyser i scenografka usytuowali ten dramat w wyrafinowanej scenarii modernistycznych, ciężkich salonów i saloników pełnych jakichś zeschłych ziół, w przestrzeni zamykanej i otwieranej szklanymi ścianami. Wokół bohaterki, obcej i „innej”, zacieśnia się symboliczny krąg coraz bardziej złowrogich, groteskowych figur. Świat niszczy miłosne szczęście, ale śmierć nieśmiertelna uczucie. Reżyser może nieco nadużył symboliki upiornego tańca, ale całe przedstawienie, przemyślane i opracowane w każdym szczególe, sprawia radość swą teatralną sprawnością. Banał został przezwyciężony wrażliwością estetyczną i psychologiczną, nie tak znowu łatwą do osiągnięcia przy inscenizowaniu melodramatu.

Grzech drugi — *Mieszczanin szlachcicem*, czyli miłość do farsy przeszkadza krytykowi znaleźć winnego

Łatwiej przyznać się do zachwyty nad Molierowską farsą niż do zachwyty nad Mniszkówną. Tym łatwiej, że pamiętam żywołową owację widowni Teatru Ludowego, która wita ulubionego aktora, a potem kwituje wszystkie



TEATR

Świąteczne remanenty

jego popisy niekłamany aplauzem. Stuhr — aktor komiczny — jest z pewnością ulubieńcem publiczności. Zaraża ją autentyczną radością grania, łatwo więc krytykowi ulec presji tego zachwyty. Tym bardziej że aktor buduje rolę ciekawie. Nie stylizuje swego bohatera, choć jako reżyser stara się narzucić światu, w którym go umieszcza, formę czytelnej stylizacji: jest nią teatr w teatrze. W reżyserkich rękach Stuhra molierowsko-dworska uroczystość nabiera rubaszności i prymitywizmu. Duża scena Teatru Ludowego mieści w sobie trzy małe scenki wędrowniej trupy teatralnej. Swoje sceniczne miejsce ma żona i córka Jourdaina, tancerze i śpiewacy. Osoba marzącego o szlachectwie Jourdaina światy łączy, on jest ich animatorem i ofiarą, widzem i aktorem. Z małych scenek na dużą scenę wypadają komiczne intermedia taneczne, wokalne i... małżeńskie. Na monie wytacza się turecka uroczystość, wyinscenizowana po to, aby oszukać głupiego Jourdaina i zmusić go do rezygnacji z ambicji, z udawania tego, kim nie jest, a kim tylko chciałby być. Farsowa turecka heca przekształca się w komedio-opero-balet narodów, krzykliwy i trochę nudny.

W zgodzie z tym farsowym rozgardiaszem Stuhr gra Jourdaina ostro, czasem groteskowo. Prowadzi dialog bardziej z publicznością niż z partnerami na scenie. To jej — publiczności, nie zaś swoim nauczycielom śpiewu, tańca, fechtunku i filozofii chce się podobać za wszelką cenę. Zdobywa więc widownię podkreślając ekspansywność, pewność siebie, cwaniactwo i grubiaństwo postaci. Pan Jourdain Stuhra jest dość długo tylko chamelem z pretensjami w niewyobraźalnie śmieszno-brzydkich kostiumach. To raczej głupiec pewny siebie niż naiwny prostaczek wykorzystywany przez arystokratycznych i artystycznych naciągaczy. Aliści w trakcie komicznego procesu zdobywania szlacheckiego sznytu ten mieszczanin jakby rzeczywiście uległ sublimacji. Po pierwsze jak dziecko bawi się i cieszy wiedzą o artykulacji samogłosek, nową umiejętnością, która go od plebsu, jak mniema, różni. Rzeczywiście z rozkoszą dowiaduje się, iż mówi prozą, i rzeczywiście tę wiedzę w sobie pieści i pielęgnuje. Ma zresztą świadomość czynionych postępów i przynajmniej jako zalotnik Markizy w istocie szybko się edukuje. Nowy świat ceremonii, niepojętej etykiety i zadziwiających umiejętności jest przedmiotem jego rzeczywistych pragnień. Daremnie chciałby w tym zgłębić form towarzyskich i pseudoartystycznych zaprezentować swe umiejętności. Jego beczący głos, jego kobza, jego muzyczne upodobania nie interesują nikogo. Pan Jourdain Stuhra stracił władzę i pewność siebie wraz ze skórą chamowatego dorobkiewicza.

Z pewnością nie będzie już wspierać sztuki, której sztuczki doprowadziły go do upadku, naraziły na śmiertelną śmieszność. Jest przeto nowym światem rozzarowany i rozżalony. Obawiam się, że współczesny pan Jourdain doświadczywszy teatralnego oszustwa, nie doceniony jako amant, ojciec i artysta nigdy już o szlachectwie marzyć nie będzie, nigdy niczego w sobie nie zmieni, ufając już tylko sile własnych pieniędzy, a nie zwodniczemu urokowi oglądy.

Komponując wesołe i udane widowisko Stuhr-reżyser nie dość wyraziście wyznaczył zadania aktorskie. Zespół świetnie spisuje się w trudnych scenach tanecznych i wokalnych. Przedstawienie pozbawione jest niestety ról aktorskich. Wszystko to, co zdarza się poza śpiewem i tańcem jest blade, przypadkowe, bez wyrazu. Jedynie scena pobicia filozofa przez krewkich artystów tańca, śpiewu i fechtunku ma wdzięk i tempo dzięki ślamazarno-zawadiackiemu uporowi znakomitego filozofa (Sławomir Sośnierz). Jednak pani Jourdain niczym nie różni się od córki Lucylli, Lucylla od służącej Michasi, a służąca Michasia od pani Jourdain. Markiza (M. Krzysica) i jej zalotnik Hrabia są nudni i tak pozbawieni dystynkcji, że trudno przypuścić, aby kiedykolwiek otarli się o arystokratyczne salony. Nawet dowcip służącego aranżującego tureckie oszustwa wydaje się nieco wymuszony. To, co było siłą *Poskromienia złoŹnicy* — znakomicie wymyślone i zagrane epizody aktorskie, w *Mieszczaninie szlachcicem* nie istnieje. Reżyser zbyt zaufał poetyce farsy, uwierzył, że zespołowość gry zorganizowanej śpiewem i tańcem wystarczy, aby ożywić postacie. Niestety nie wystarczyła, a krytyk nigdy nie dowie się, kto właściwie zawinił: reżyser, który nie dał szansy aktorom Teatru Ludowego i pozwolił im z wdziękiem grać tylko postacie z chóru, czy też aktorzy Teatru, nie umiejący z epizodów uczynić wyrazistych ról. Na Moliera winy zrzucać nie wypada, więc łatwiej przemilczeć pytanie, zwłaszcza że spektakl jest śmieszny i miły, a publiczność klaszcze.

Małgorzata Ruda

Helena Mniszkówna, *Trędowata*. Adaptacja Joanna Olczak-Ronikier, reż. Włodzimierz Nurkowski, scen. Anna Sekuła, muz. Andrzej Zarycki. Teatr Ludowy, premiera listopad 1992.

Molier, *Mieszczanin szlachcicem*. Przekład T. Żeleński, reż. Jerzy Stuhr, scen. Elżbieta Krywsza, muz. Jolanta Szczerba, choreografia Agnieszka Łaska. Teatr Ludowy, premiera czerwiec 1993.

Ugóry: Agata Jakubik i Piotr Urbaniak w *Trędowatej* Heleny Mniszkówny, Teatr Ludowy.
Fot. Zbigniew Łagocki